



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



KATASTROFA NA WYSPACH PAUMOTU.

Rok bieżący obfituje w rozmaite katastrofy żywiołowe. O ile w zeszłym roku zewsząd dochodziły wiadomości o strasznych trzęsieniach ziemi i wybuchach wulkanów, o tyle w bieżącym zdarzają się niebywałe burze, huragany i powodzie.

Na oceanie Spokojnym, którego nazwa sama już dowodzi, iż burze są tam wypadkami niezmiernie rzadkimi, wśród roju wysp Polinezyi znajduje się archipelag Paumotu, złożony z niewielu małych wysepiek koralowych, należących do Francyi.

Prawie cała pięciotysięczna ludność tych wy-

sepek zajmuje się połowem pereł, w które okolice tamtejsze niezmiernie ofitują.

Wyspy owe, jako utworzone z raf koralowych, niezbyt wysoko wystają nad zwykły poziom morza, okoliczność ta sprawiła, że katastrofa takie olbrzymie rozmiary przybrała, gdyż straszny cyklon pędząc fale morskie na ląd, zalał wszystkie wyspy archipelagu, około 2,000 mieszkańców pozbawiając życia.

Rycina nasza przedstawia panowanie niszczącego cyklonu na jednej z wysp Paumotu. Przerażeni mieszkańcy uciekają na drzewa lub też umocowaw-

szy liny u pni, w ten sposób bronią się przed nacierającymi gwałtownie falami.

Tych, którzy ocaleli, umyślnie ku temu przeznaczone okręty, po uspokojeniu się morza, przeniosły w bezpieczniejsze miejsca.

Teresa Jądwiaga.

DWIE WYGNANKI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW CESARZA BARBAROSY.

(Dalszy ciąg).

Pozegnać — powtórzyła tonem zadziwionym — gdzież jedziesz?

— Dawno ułożony projekt przez ojca, spełnił się wreszcie — jadę na naukę do Rzymu — odparł Arnold. Sławny Abelard filozof, którego ojciec poznał, bawiąc we Francyi, jedzie do świętego grodu i mnie z sobą zabiera, uczniem jego będę, czy ty rozumiesz Beatryczo: uczniem Abelarda, nielada to chluba!

— Rozumiem i zazdroszczę ci — rzekła Beatrycza.

To powiedziawszy, westchnęła.

— O ile wy chłopcy szczęśliwsi jesteście od nas — dodała — i ja uczyć się pragnę — tylu rzeczy ciekawa jestem.

Arnold ujął ją pod ramię i do pobliskiej ławki kamiennej poprowadził.

— Dzieci niech nam nie przeszkadzają — rzekł do małej gromadki, która ich otoczyła — marsz w ogród!

Dzieci usłuchały rozkazu, oni sami zostali.

— Nikt nie broni kobietom uczyć się — rzekł — wszakże przy klasztorach są szkoły, wśród sióstr zakonnych, niejedna jest bardzo uczonna — rzekł Arnold.

— Być może, ale ja zakonnicą nie chciałam być — odparła Beatrycza — życie zamknięte w murach posępnych, to nie dla mnie.

— I mnie się tak zdaje — śmiejąc się, rzekł Arnold — ja chcę mądrość zdobyć, lecz habitu nie przywdzieję. Pojadę do Rzymu, lat kilka tam pobędę, potem z wieńcem laurowym do willi Gosich przyjadę, by złożyć go u stóp mojej Beatryczy; czy cię to pocieszy, że sama mądrości nie zdobędziesz?

Beatrycza się zamyśliła, odpowiedziała dopiero po chwili.

— Niezupełnie, cieszyć się wszakże będę niewypowiedzianem twojem szczęściem i dumna będę twoją sławą... Którą z nauk masz zamiar ukończyć najbardziej?

Arnold wzruszył ramionami.

Wszystkie mnie nęca — rzekł — sam nie wiem jeszcze... Ojciec chce bym kanony i kodeks badał, mnie filozofia nęci; tyle tajemnic zawiera, tyle zagadek...

Zamyślił się młodzian po tych słowach: wielkie, czarne płonące jego źrenice utkwily w niebieskiem sklepieniu, zdawały się ehcieć przebić je i spojrzeć, co się znajduje poza niem.

— Tak, filozofię będę studyował — odezwał się nagle stanowczym tonem, lecz i kodeksu nie zaniedbam; ta wiedza potrzebna jest każdemu. Ojciec mi powiedział:

„Ucz się, jak chcesz długo, mam cześć dla wiedzy, a w szkatule mojej złota nie braknie. Jam zbierał grosz skrzętnie, ty wiedzę zbieraj, a tak oba będziemy służyli swojej ziemi i braciom naszym owocami swej pracy.”

— Pojadę z tobą — rzekła Beatrycza — przebiorę się za chłopca i uczyć się będę.

Arnold się rozśmiał.

— Może i miecz przypaszesz z czasem? — zapytał — chodzą pogłoski, że Barbarossa gotuje się do wyprawy na Włochy.

— Przypasałabym z ochotą — odparła Beatrycza, podniósłszy śmiało czoło. — Giowanni wróżył nam dzisiaj, że Niemcy oblegną Medyolan; roilał, że stoję na murach miasta z łukiem w ręku, między tobą a ojcem; bo wszakże, rzuciłbyś Rzym, gdyby naszemu miastu groziło niebezpieczeństwo?

— Z pewnością rzekł Arnold, a potem dodał — jakież stanowisko zajmowałaś w załodze, broniącej miasta podczas owych rojeń?

— Byłam wodzem armii dziewcząt — z uśmiechem rzekła Beatrycza — walczyłyśmy dzielniej od was i wyobraź sobie, nocą wykradłyśmy się z miasta, wpadłyśmy na śpiących Tedesków. Nie zbudzili się więcej. Barbarossa tłukł głową o ziemię i krzyczał: „Medyolanki, powróćcie mi moich rycerzy.”

— Straszna z ciebie niewiasta, niebezpieczniejsza od Judyty biblijnej — rzekł, śmiejąc się Arnold — tamta jednego Holofernesa zabiła, ty chcesz zgładzić tysiące.

— Niecierpię ich.

— Zdolną już jesteś do takich silnych uczuć?

— Tylko do słabych uczuć nie zdolną jestem: albo nienawidzę na śmierć, albo miłuję na śmierć.

Arnold miał ochotę znowu się rozśmiać, lecz gdy spojrzał na Beatryczę, uśmiech uleciał z jego ust, była tak poważną i tak posępnie patrzyła jej oczy.

— Więc, gdy Barbarossa oblegnie Medyolan? — począł.

Dziewczynka nie dozwoliła mu dokończyć pytania.

— To odeprzemy oblegających — rzekła stanowczym głosem — upokorzymy jego dumę, onieśmielimy go na zawsze. Medyolan to siła, to miasto św. Ambrożego, nie radzę Barbarossie zaczepiać nas!

— A ja tobie nie radzę roić, że staniesz na murach miasta, gdy kamienne pociski latać będą nad głowami, a strzały świstać około uszów — odparł poważnie Arnold. — Urban de Gosi, ojciec twój i brat twój cioteczny Arnold Brescia powiedzą ci: „To nasza rzecz.”

Beatrycza chciała mu odpowiedzieć, lecz dobiegł ich krzyk przeraźliwy z głębi ogrodu.

— Co to? — zapytał Arnold.

— Marcello i Luigi pewno się biją, poznaję ich głosy — rzekła Beatrycza — chodźmy do nich, mama zleciła mi opiekę nad dziećmi.

To mówiąc, podniosła się z ławki i zwróciła spiesźnie w stronę, z której wrzask dobiegał.

Arnold podążył za nią.

— Te małe wisusy sprawiają ci nieraz kłopot — rzekł — czemu Marta nie czuwa nad nimi?

— Mama potrzebuje dzisiaj jej pomocy — odparła Beatrycza — wykończa ornat do kościoła św. Ambrożego, Marta jej pomaga.

— Dlaczegoż dzisiaj ornat ma być koniecznie skończony?

— Bo jutro odbyć się ma uroczyste nabożeństwo w katedrze, na intencję, żeby Medyolan odparł Barbarossę, gdy szturm przypuści do miasta.

— Teraz rozumiem dlaczego mój ojciec chciał koniecznie dziś tutaj przybyć.

— A gdzieś wuj?

— Został w mieście, ma załatwić jakąś sprawę kupiecką, lecz zobaczysz go jeszcze dzisiaj.

Dotarli właśnie do miejsca, gdzie rosły pomarańcze, tam ujrzeni braci, toczących z sobą bój srogi, roziskrzane oczy chłopiąt, zaczerwienione policzki świadczyły, iż walka toczy się nie na żarty; opodal stała Mafalda, która z przerażeniem na nich patrzyła a Stellina, obojętnie zajadała pomarańczę; w dali stary Giovanni trząsł głową i mruczał:

— Kłóćcie się, kłóćcie, wszak tak wszyscy u nas robia... Uczcie się zawczasu bratniej niezgody, dręczcie matkę waszą...

— Marcello! — zawołała Beatrycza tonem napomnienia.

— Ale chłopcy nie słyszeli jej.

Beatrycza przystąpiła do zaperzonych malców, ujęła obu energicznie za ramiona i odepchnęła jednego od drugiego daleko.

— Czy was nie wstyd? — zapytała.

Luigi płaczem głośnym odpowiedział, lecz w łokniu chłopca dźwięczał gniew tłumiony, Marcello zwrócił się do Arnolda.

— Zgniółł mi moją pomarańczę kolanami — rzekł.

— A moją porwała Stellina — wyjąkał Luigi.

— Więc to o pomarańcze ta walka? — zapytał z ironią Arnold.

— Musisz się przebrać — rzekła tymczasem Beatrycza, ujmując brata za rękę. — No, już nie płacz, pogódźcie się i strzeżcie się nadal chciwości — dodała tonem poważnym, nie licującym z jej latami.

— Ba, niedarmo urodził się w Medyolanie — wmieszał się Arnold — chciwość, to cecha charakteru Medyolańczyków.

— Dlaczego tak źle mówisz o mieście, które kocham — z urazą odparła Beatrycza.

— Ojciec mój opowie wam wiele rzeczy, które usprawiedliwią mnie w twoich oczach — odparł Arnold. — Chodźmy do pałacu, chciałbym się z panią ciotką przywitać — dodał — mam jej powtórzyć zlecenie, dane mi przez ojca.

Gromadka podążyła cyprysową aleją ku pałacowi.

Luigi przestał już płakać, Mafalda dała mu własną pomarańczę na pocieszenie; Beatrycza kazała mu wejść bocznymi drzwiami i przebrać się, zanim spotka się z matką; tą samą drogą podążyła i reszta malców.

Signora de Gosi powitała siostrzeńca z nieukrywano radością.

— Ojciec mój polecił mi oznajmić pani ciotce, iż zaprasza się na wieczerzę — rzekł Arnold, chyląc się do jej ręki z pocałunkiem; ważne sprawy zatrzymują go dzień cały w Medyolanie, na odpoczynek tutaj przyjedzie.

— Jakież to sprawy? — zapytała signora Teresa.

— Podobno ważne — odparł Arnold — lecz muszę zamilczeć, bo nie wiem dokładnie, a nie wątpię, iż sam je wyjawię.

— Siadaj tymczasem; chłód tej obszernej komnaty miłym ci będzie zapewne po podróży, w skwar południa odbytej — rzekła signora Teresa. — Beatryczo zajmij się przygotowaniem jakiego chłodzącego napoju dla nas; ja tymczasem dowiem się, czy prawdą jest, iż Arnold wybiera się na dłuższy czas do Rzymu.

Beatrycza przyniosła niebawem chłodzące napoje i przyżywionej rozmowie czas leciał im szybko; ani się spostrzegli, jak słońce znikło.

Już stół do wieczerzy był nakryty, gdy tentem koni oznajmił przybycie wyczekiwaných. Niebawem rozległy się w przyległym pokoju głośnie kroki i do komnaty weszło dwóch mężczyzn: mąż jej i ojciec Arnolda. Obaj mieli chmurne spojrzenia i czoła zmarszczone.

(d. c. n.)



Oj, poleceź ja!

Jeno z śpiewy rannemi
Wzleczę w górę skowronki,
Oj poleceź ja z niemi
Nad pagórki, nad łąki.
Nad te chmury, co płyną
Hen, wysoko poleceź
I nad wioskę jedyną,
Co ją Bóg ma w opiece.

Nad tę niwę zoraną
I nad gaik zielony,
I nad błonia, skąd rano
Dźwięczą fujarek tony.
Oj, poleceź ja mała,
Jak to ptaszę niewinne,
Skąd widoczna wieś cała
I te łąny rodzinne.
I te chaty bielone,
I wieśniacy przy pługu,
Sady wkoło zielone,
Nasza krówka na smugu.

Jeno z śpiewy rannemi
Wzleczę w górę skowronki,
Oj, poleceź ja z niemi
Nad te łąny i łąki. S L



BUDOWNICTWO U ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).



Wszystkie ptaki w ogóle budują gniazda pojedynczo, każda rodzina dla siebie. Jedynym wyjątkiem są pod tym względem ptaki żyjące w Afryce południowej, które noszą nazwę republikanów, a także wróble towarzyskich, właśnie dlatego, że żyją gromadnie i to pod jednym wspólnym dachem, a raczej ogromną wspólną strzechą.

Najczęściej widzieć można takie strzechy zawieszane na grubej gałęzi mimozy. Mają one kształt rozłożonego parasola, bez rączki oczywiście, utkanego z traw zeschniętych; nachylenie ścian dachu pozwala wodom deszczowym spływać po nim swobodnie, a grubość i ściśłość strzechy, chroni umieszczone pod niemi gniazda od zamoczenia.

Pod dachem w licznych korytarzach znajdują się gniazda, a raczej miękko wysłane wydrążenia w grubej warstwie traw, splecionej z właściwym da-

chem. Gniazd takich bywa sto kilkadziesiąt pod jedną strzechą. Korytarze nie tworzą zwykle linii prostych, idą one w różnych kierunkach, po liniach łamanych lub kolistych; często mały korytarz kończą trzy gniazda, tuż obok siebie umieszczone; jedno w głębi, dwa po bokach. Co roku zwiększa się kolonia ptasia więc trzeba dach wkoło powiększyć i nowe dobudować gniazda.

Zdarza się też, że w końcu gałąź utrzymać nie może zbyt ciężaru, łamie się i z całą strzechą na ziemię spada. Straszne nieszczęście dla ptaków, epoka w ich życiu! Z okrutnym hałasem, świegotem i trzepotaniem, naradzają się nad wyborem nowego miejsca na gniazdo, może są także u republikanów stronnictwa, mówcy, przewodnicy partii.

Wreszcie narada przyniosła skutek pożądany, cały lud ptasi bierze się do pracy, bez różnicy wieku i płci, a budowy ich stają się tak twarde z czasem, że stare dachy trzeba siekierą rozrąbać, aby przejrzeć warstwy wewnętrzne.



Fig. 6. Gniazdo wikłaczy.

Republikanie mają też swoich wrogów; są nimi węże czyhające na ich jajka, ale zawieszane na gałęziach grube dachy utrudniają przecież gadom przystęp do gniazd; oprócz tego małe, wojownicze papużki, które także gromadnie żyją, napadają na rzesze republikanów i czasem w przeciagu dwóch godzin potrafią pobić i wypędzić prawych właścicieli ze strzechy; wtedy rozsiadają się pod nią wygodnie, korzystając z cudzej pracy, do której same nie są zdolne. Strzechy republikanów są jedynym okazem ptasich gniazd, wspólnie budowanych. Życie gromadne tych ptaków mogłoby dać pole do wielu ciekawych spostrzeżeń: czy swarzą się często z sobą, czy poza budową wspólnie prowadzoną, udzielają sobie jakiej pomocy; czy wszystkie są jednako pracowite, a jeżeli są między nimi leniwe osobniki, jak obchodzi się z nimi pracowita większość i t. p.

Podobne do republikanów wikłacze (fig. 6) żyją również w gromadach, ale daleko mniej licznych; gniazda ich razem skupione mają wygląd rozmaity, stosownie do gatunku wikłaczy są mniej lub więcej wydłużone, mniej lub więcej kuliste, z powłoką cierni-

stą lub gładką. Wszystkie jednak mają zawsze otwór wejściowy u dołu umieszczony, rozmiarami ściśle zastosowany do objętości wikłacza. To też wikłacz jest w swym gnieździe zupełnie bezpieczny. Ojczyzną wikłaczów jest Afryka i południowa Azja.

Ten krótki przegląd głównych metod budowania u ptaków, pozwala nam podzielić te stworzenia na trzy grupy: murarzy, górników, koszykarzy. Tych ostatnich jest najwięcej; niektóre możnaby też nazwać tkaczami, np. kolibra, który z puchów roślinnych tka sobie małeńkie, jak kłębek waty wyglądające gniazdeczko (fig. 7).

Wszystkie też ptaki, w których gniazdach znajdujemy wełnę, włóczkę, watę, nie wplatają tych



Fig. 7. Gniazdko kolibra.

strzępeków w całości, lecz każdy kawałeczek przytrzymują łapką a dziobkiem na części drobniejsze go rozdzielają, rozczesując nitki, jak my rozczesujemy len.

(d. c. n.)

Z wędrówek po kraju.

WAWRZYSZEW.

Moja Zosiu! Nie spodziewałam się zupełnie, żeby list mój tak cię zajął i zabawił w dodatku, piszesz, że mi zazdrościsz pobytu w miejscu, gdzie mogę czytać swobodnie, i dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy. Ciągłe rozrywki wśród towarzyszek już się nudzą, okazały się też różnice zdań, stąd małe nieprzyjemności.

Miałabym ochotę włożyć na nos okulary babci i wypowiedzieć porządną naukę: o wyrozumiałości, o konie-



Staw w parku w Wawrzyszewie.

czność przeplatania zabawy pracą i tak dalej, ale myślę, że mnie twoja manusia wyręczyła.

Ja czytam mniej, zato więcej się zajmuję tem, co się koło mnie dzieje. Pomagam cioci w gospodarstwie, chodzę czasem do dojenia krów, pilnuję, jak mleko studzą na chłodniku, następnie zlewają w szczelnie zamknięte metalowe naczynia i wiozą do Warszawy. Spracuję się nieraz doskonale, bo nawet sama żorawiem sięgnę wiadro ze studni.

Zawarłam też znajomość z kilkorgiem dzieci z czworaków, gdzie mieszka służba folwarczna wujka.

Chodzę więc czasem do tych dzieci, rozmawiam z nimi, opowiadając różne rzeczy. Lubię szczególnieś małego, trzyletniego Stacha, który rozprawia jak dorosły człowiek. Raz spotykam go z pękiem marchwi pastewnej w ręku pytam go: „co z tem zrobisz Stasiu?” a on „Może zjem som, a może krowie dom,” zabawny malec!

Co do Wawrzyszewa nie czuję się na siłach, do dokładnego opisanie wszystkiego, a że wiem, że ciebie byle czem nie zbęde, więc uprosiłam babci, żeby mnie zastąpiła. Minionej niedzieli był u nas pan Władysław znajomy malarz i odfotografował kilka widoków, z których jeden ci posyłam.

* * *

Wawrzyszew wieś kościelna, trzy wiorsty od miasteczka Powązek odległa, należy do bardzo starych osad Mazowsza. Jest w aktach kościelnych dokument łaciński, na pergaminie pisany w roku 1543 to jest ostatnich lat panowania Zygmunta Starego, obejmujący *konsens* (czyli pozwolenie, Sebastjana biskupa poznańskiego dany urodzonemu *) *Baltazarowi Smosarskiemu, Doktorowi Sztuki y Medycyny*, fizykowi Jego Królewskiej Mości a właścicielowi wsi Wawrzyszew na postawienie tamże kościoła. Przytem upoważniający księdza Stanisława Bonieckiego, Scholastyka Warszawskiego, do erekcyi tegoż kościoła pod wezwaniem Świętej Maryi Magdaleny i odłączenia parafii należącej dotąd do Kolegiaty Św. Jana w Warszawie.

Jednym też z powodów skłaniających pobożnego fundatora do owej budowy, jest oddalenie i niemożność uczęszczania do kościoła w ciągu zimy „dla leśnej drogi i postrachu dzikiego zwierza” Ksiądz biskup, pochwalając myśl pobożną, dodaje dziesięcinę ze wsi swojej Woli, Borakowskiej, do klucza Żbikowskiego należącej, dla uposażenia ko-

ścioła wawrzyszewskiego. Pierwszym jego proboszczem był ksiądz Mikołaj z Kobyłki.

Łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądała ta okolica przed trzystu pięćdziesięciu dziesięciu laty, kiedy tu szumiały lasy, a małe obecne błotka i łączki tworzyły rozległe bagna i moczary, gdzie też rechot dzików, i wycie wilków grozą napełniało mieszkańców w zimowe noce. Po tych wiarogodnych dokumentach jest ogromna luka. — Przez dwieście dwadzieścia ośm lat, niema żadnego śladu w którym ręku był Wawrzyszew, zapewne dzielił ogólne losy kraju, a zatem, liczne i krwawe wojny. Bliski stolicy, więcej musiał ucierpieć niż inne dalsze osady.

Dopiero z 1770 roku jest akt, z którego dowiadujemy się, że wieś jest własnością klasztoru Panien Benedyktynek Warszawskich, a ksieni Eufrozyna Mikulska za pozwoleniem księcia Prymasa Podolskiego, nadaje proboszczowi wawrzyszewskiemu w zamian za dziesięcinę wytyczną, włókę gruntu miary chełmińskiej.

Ów proboszcz, ksiądz Michał Aksan, musiał być zabiegliwym gospodarzem, bo w dziesięć lat później jest jeszcze układ między: „Adamem księciem na Klewaniu i Żukowie, generałem ziem podolskich i Izabellą z Flemingów Czartoryskimi, dziedzicami Powązek, a tymże księdzem Aksanem, oznaczający należną dziesięcinę z Powązek, na 200 złotych polskich.

To są najznakomitsze dokumenty z aktów kościelnych wawrzyszewskich, dalej to istny obraz dziejów kraju, lustracje, pisane to po niemiecku, z czasów rządów pruskich, to znów po polsku za Księstwa Warszawskiego i królestwa kongresowego.

Do pow. „Palac w głębi oceanu.”



*) To znaczy — szlachcicowi.

Przed kilkudziesięciu laty Wawrzyszew należał do Instytutu Agronomicznego w Marymoncie, tu był folwark doświadczalny i szkoła parobków, również jakieś początki gospodarstwa rybnego, czego są ślady w pięknych ale zapuszczonych stawach. A z jakiej epoki jest dąb wspaniały na wyspie, otoczony wieńcem lip co najmniej paręset lat mających, i również piękna aleja lipowa, widoczny szczątek rozległego parku, tego ani pismo ani tradycja miejscowa nie mówi.

Otóż i notatka babci, którą ci przesyłam droga Zosiu. Babcia bardzo żałuje, że nic więcej zebrać nie mogła. Ludność tu napływowa, żadna nitka tradycji nie da się nawiązać do tych skąpych wiadomości.

Przyznaję, że zupełnie innem okiem patrzę teraz na to miejsce mego czasowego pobytu, jakoś się z niem zbliżyłam, zaprzyjaźniłam.

Jestem dziś w bardzo poważnem usposobieniu i kończę ten list postanowieniem troskliwego szukania i przechowywania dawnych pamiątek. Jak będziemy starsze moja Zosiu, to musimy każda w swej okolicy i gdzie się zdarzy zbierać najdrobniejsze i pamiątki pod hasłem „ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka” Może i my przydamy się na coś ogółowi!...

Dosyć na dziś; już i tak list ogromnie gruby, czekam twej odpowiedzi

kochająca cię

Nina.



Maks Semberton.

Pałac w głębi oceanu.

Dalszy ciąg).

Była piąta rano, gdym dał drugi sygnał rozbitkom na wyspie, a o wpół do szóstej zaledwie mi odpowiedzieli. Nie budziłem Piotra Bligh ani małego Dollego, chcąc aby wypoczęli i nabrali nowych sił, teraz jednak gdy przypuszczenie zamieniło się w nadzieję, kiedy zacząłem myśleć na seryo, że uratuję część załogi zatopionego okrętu, zszedłem na dół i zawołałem na towarzyszy, aby wstawali i gotowali się do stanowczej przeprawy. Rozbitkowie ujrzeni białą chorągiew powiewającą na skale, a ponieważ nie mieli nic do stracenia, ponieważ mgła ich dusiła, nie więc dziwnego, że zepchnęli łódź na fale i zabierali się wsiąść do niej.

Tymczasem nadeszli moi towarzysze, jeszcze nawpół senni, przecierając oczy i ziewając na wyścigi, opowiedziałem im w dwóch słowach co zaszło.

W dzień nie potrzebujemy się lękać napadu ze strony Czernego, dodałem w końcu. Zresztą jego samego cblegają teraz korsarze. Widzicie tych dwanaście łodzi pełnych rozbójników? Otóż Czorny niktogo nie wpuszcza na pokład, lękając się zapewne przeważającej liczby. Coż im więc pozostaje? nie mogą wylądować na wyspę z powodu mgły, nie mogą się dostać do pałacu, z powodu dział, będą więc w końcu zmuszeni zabrać się do własnego dowódcy, bo w razie silnego wiatru, ani jeden nie ocaleje. Coż powiesz

na to Piotrze? Czy ci to nie dodaje otuchy? A tam na brzegu są ludzie potrzebujący pomocy, my im dopomożemy, my ich ocalimy.

Piotr odrzekł poważnie:

— Ocalimy przy pomocy Bożej. Od tej chwili otrząsnął się zupełnie ze snu, przestał ziewać i przecierać oczy, i stojąc u mego boku odczytywał sygnały i mówił je głośno, tak jak dawniej, kiedyśmy płynęli razem.

— Ośmiu ludzi, jedna kobieta, czółno. Są chorzy i bezbronni. Zapytują, czy mają teraz odpływać, czy też czekać nocy? Odpowiedz kapitanie.

— Niech zaraz odpływają! — zawołałem — coż im noc pomoże? Przecież w tej mgle nie dożyją wieczoru. A jeżeli ich Czorny zatopi w drodze, to będzie jeszcze jedna zbrodnia, za którą odpokutuje, gdy nadejdzie czas sądu. Niech zaraz odbijają.

To mówiąc, dawałem im znaki sygnałami morskimi. Przez chwilę odpowiadali mi z brzegu, później sygnały ustały i zobaczyliśmy ciemną łódź, przerywną fale zatoki. Równocześnie usłyszałem krzyk małego Dollego i zwróciłem oczy na yacht Czernego. Jedna z szalup oddalała się szybko od okrętu, śpiesząc przeciąć drogę rozbitkom; w tej chwili korsarze gotowi byli rzucić maskę z twarzy i popełnić największe okrucieństwo.

— Baczność przy armacie! — zawołałem. — Niech się tylko przybliżą na odległość strzału, przywitamy ich tak, że popamiętają długo, aż do śmierci!

Czy kula już dosięgnie, czy należy jeszcze czekać?

Nie trać czasu, chłopcze tu chodzi o życie niewinnych. Nie trać czasu!

Dolly zabrał się w milczeniu do roboty, zmienił naboje i obrócił armatkę na wschód. Wszelako ociągał się ze strzałem, gdyż odległość była zbyt wielka. Tymczasem szalupa Czernego zbliżała się lotem ptaka, widziałem przez lunetę, jak majtkowie równo, miarowo wiosłowali — widziałem także, że na łodzi rozbitków coraz więcej tracono ducha, wiosła coraz rzadziej podnosiły się w górę. Widocznie sił im brakło.

Dolly wciąż stał przy dziale i nie strzelał. Nie mogłem patrzeć na ten wyścig, na te rozpaczliwe wysiłki rozbitków i zawołałem pełen niecierpliwości:

— Przez litość, strzelaj! czyż chcesz, aby ich pomordowali!

Spojrzałem na chłopca, twarz miał rozczzerwienioną, błyszczące oczy. Ręce mu drżały na armacie, lecz wciąż jeszcze wyczekiwał.

— Nie mogę, kapitanie, kula nie doniesie. Jeszcze tylko małe pół milki! Mój Boże, a tamci wiosła opuszczają. Jeden z nich omdlał; drugi zajmuje jego miejsce.

Widziałem wyraźnie, jak łódź niosąca rozbitków, bez wiosła, bez steru dawała się unosić falom, widziałem wyraźnie szalupę Czernego, która z każdą chwilą zbliżała się coraz bardziej do łodzi. Już korsarze dobywali nożów, aby się rzucić na bezbronne ofiary, już przecięli im drogę.

— Zginęli! — zawołał Piotr Bligh. — Panie Boże zmiluj się nad nimi! Już do skały nie dopłyną!

Wtem nagle usłyszałem głos za sobą, który dawał kłam słowom Piotra, i serca nasze napełnił nadzieją.

— Piotrze Bligh! tamtych polecaj Bogu, czy nie widzisz, że szalupa Czernego tonie?

Odwrociłem głowę i ujrzałem Jana Barkera, który miał poleczone strzedz dolnych drzwi.

Zapytałem go, poco tu przyszedł, a on mi odrzekł, że w korytarzu słyszał głosy i kołatanie. Przyznam się wam, że zrobiło mi się gorąco i zimno na przemiany.

— Pan Gray powiada — ciągnął dalej Barker, — że w tej chwili nie nam nie grozi. Chodzi tylko o to, aby nie zatrzymali maszyny tłoczącej powietrze, ale oni jej dopilnują sami dla siebie.

— Czy się pan Gray lęka o maszynę?

— Jeżeli się maszyna zatrzyma, to wszyscy pomrzemy z braku powietrza.

— A więc się nie zatrzyma! — zawołałem gwałtownie — bo oto człowiek, który stanie do walki z całą bandą przeciwników.

Słyszając tego opowiadania, czułem, że mi serce bije przyspieszonym tętnem, że krew uderza mi do głowy. Przygotowany byłem na najgorszy koniec, lecz spojrzawszy na morze nie mogłem powstrzymać okrzyku radości, gdyż szalupa w istocie tonęła w oczach, nawet dziecko mogłoby poznać, że już nie zagraża rozbitkom, i że niedługo zniknie pod falami.

— Cóż to się stało! — zawołał Piotr wielkim głosem. — Przyszła kreska na Matyska! Kogo innego tobym żałował, ale teraz cieszę się, że na świecie mniej będzie nicponiów.

Staliśmy więc na brzegu, nie spuszczać z oka szalupy. Dolly Ven mówił coś o wczorajszych strzałach, które zapewne łódź uszkodziły, lecz ja nie wchodziłem w przyczyny, nie szło mi wcale o powód, gdy widziałem tak cudowny skutek. Tymczasem rozbitnicy zaniepokoiли się stanem swej szalupy, a gdy woda wdarła się do wnętrza, stracili głowy, biegali jak szaleni, skakali po ławkach — wszystko nadaremnie. — Chwilę później ocean pochłoniął łódź i w niej dwunastu zbrodniarzy. Przez kilka minut widzieliśmy, jak walczyli z falą, lecz żaden z nich nie dopłynął do ściganej łodzi, żaden nie uratował się na skale. Morze ich pochłonięło, zanim do dawnych swych zbrodni dodali nową.

Bóg ukarał złoczyńców, a ocalił niewinnych. Rozbitkowie widząc, że ze strony korsarzy nie grozi im już żadne niebezpieczeństwo, nabrali otuchy, schwycili znów za wiosła i niebawem przybili do naszej skały. Pomogliśmy im wyjść na brzeg, wynieśliśmy na rękę zemdloną kobietę i teraz wzmocnieni liczebnie i wzmocnieni na duchu, z ufnością patrzyliśmy w przyszłość, wierząc, że los szczęśliwy i nadal towarzyszyć nam będzie, i że niedługo skończy się nasza walka zupełnem zwycięstwem.

XXII.

Początek sześćdziesiąciu godzin.

W sobotę około południa uratowaliśmy biednych rozbitków, lecz nasze kłopoty i walki skończyły się dopiero w poniedziałek po północy; czas ten w opowiadaniach nazywałem zwykle sześćdziesiąciu godzinami, gdyż wtedy każda godzina wydawała się nam rokiem, tyle zdarzeń i tak strasznych następowało bez przerwy po sobie. I tu opowieści mojej nadam formę dziennika, gdyż inaczej czytelnik nie zdołałby mnie dokładnie zrozumieć.

Sobota. 27 maja o południu.

Uratowaliśmy dziewięciu rozbitków, pomiędzy którymi znajduje się młoda dziewczyna, Izabella Nepen, córka kapitana marynarki angielskiej. Ojciec jej, wysoki i piękny mężczyzna, natychmiast po wylądowaniu zapytał, w czym może nam być użyteczny i zaraz wydał rozporządzenia swoim ludziom. Załoga zatopionego okrętu składa się przeważnie z Amerykanów, gdyż „Colorado” przewoził towary i pasażerów z portów amerykańskich do Yokohamy. Nie mogą oni wyjść z podziwu nad tem wszystkim, co widzieli na wyspie i tu w podwodnym pałacu, lecz

są jeszcze zanadto osłabieni, aby dać wyraz swoim uczuciom. Biedne dziewczątka, nie odzyskała dotychczas przytomności i leży jak martwa, doktor Gray jednak nie wątpi, że ją przywróci do zdrowia.

(c. d. n.)



ZE ŚWIATA.

Pogrzeb Leona XIII. W sobotę w południe (25 lipca) skończyła się uroczystość wystawienia na widok publiczny zwłok Ojca św. Leona XIII w kaplicy Przenajświętszego Sakramentu. Po zamknięciu bazyliki św. Piotra dla publiczności, rozpoczęły się niezwłocznie przygotowania do pogrzebu Ojca św. Ustawiono w kaplicy zwanej chórową wysokie katafalk z trumną symboliczną (bez ciała) na której spoczęła tiara papieska. O godzinie 7 1/2 wieczorem po nabożeństwie uroczysty orszak pogrzebowy, złożony z duchowieństwa, przedstawicieli państw i szlachty rzymskiej, wyruszył z kaplicy Przenajświętszego Sakramentu i przez główną nawę bazyliki podążył do kaplicy chórowej, obok której między dwiema olbrzymimi kolumnami mieści się sarkofag z białego marmuru, w którym spoczną zwłoki Papieża.

Po przeniesieniu ciała do kaplicy chórowej jeden z kardynałów, naprzód już ku temuznaczony, udzielił zwłokom ostatniej absolucji (rozgrzeszenia) poczem nakryto oblicze zmarłego Papieża białym welonem, a zwłoki całunem z jedwabiu różowego.

Gwardziści szlacheccy podnieśli potem ciało i złożyli do trumny cedrowej, w której umieszczono również medale z okresu panowania Leona XIII, oraz szklany cylinder ze spisana na pergaminie historią życia i zasług Papieża.

Trumnę cedrową złożono do ołowianej, tę zaś po opieczętowaniu przez kardynała kamerlinga Oreglię do wiązowej, po czem po ostatnich ceremoniach duchownych, Przy biciu dzwonów i śpiewie psalmów podniesiono zwłoki do sarkofagu, który niezwłocznie zamurowano.

Długość panowania papieży. Przed paru tygodniami wyszła w Kaliszu książka, podająca życiorysy wszystkich papieży od samego początku chrześcijaństwa. Wypisujemy z tej książki kilka ciekawych danych o długości panowania papieży.

Książę Apostołów św. Piotr, zarządzał kościołem Chrystusowym 25 lat 4 miesiące i 7 dni. Lata te Piotrowe na Stolicy Apostolskiej przekroczyło dwóch tylko papieży: Pius IX, który panował 31 lat 7 miesięcy i 22 dni oraz Leon XII, który przeżył św. Piotra o 2 przeszło miesiące.

Oprócz wyżej wymienionych, zasiadali na Stolicy Apostolskiej dłużej niż lat 20 następujący papieże: Pius VI — 24 lata 8 miesięcy i 14 dni, Sylwester I — 23 lata 10 miesięcy i 14 dni, Pius VII — 23 lata 5 miesięcy i 6 dni, Leon I — 21 lat 1 miesiąc i 13 dni, Urban VIII — 20 lat 11 miesięcy i 21 dni, Leon III — 20 lat 5 miesięcy i 16 dni, wreszcie Klemens XI — 20 lat 3 miesięcy i 25 dni.

Najkrócej ze wszystkich papieży panował Urban VII, bo tylko dni 13.

Skromny monarcha. Król Szwedzki Oskar II zwiędając niedawno jedną z pensyi, zapytał się któregoś z uczennic: jacy byli najwięksi królowie szwedzcy.

- Gustaw Adolf i Karol XII odpowiedziała panienka.
— I Oskar II — dodała inna. Król uśmiechnął się, słysząc to pochlebstwo i prosił ją, aby wymienić wielkie wypadki z czasu jego panowania.

Dziewczynka namyślała się długo, wreszcie zakłopotana wyznała, że nie wie.

— Pociesz się, moja kochana — rzekł jej król — i ja nie wiem.

ZADANIA KONKURSOWE.

ŁAMIGŁÓWKA ZEGAROWA.

uł. Aes dla czytelników konkursu.

- W środku tarczy zegarowej stoi litera P; od niej do liczb wskazujących godziny rozchodzą się siedmioliterowe wyrazy. Litery końcowe, przypadające na miejsce godzin, utworzyć mają imię i nazwisko znanego polskiego badacza zwyczajów ludowych.
- 1) Miasto w Sy-cylii. 2) Staro-egipski papier. 3) Miasto powiatowe nad Narwią. 4) Zwierzę z rodziny kotów. 5) Wynalazca surowicy przeciw wściekłości. 6) Poczworka chrapająca. 7) Zdobywca Peru. 8) Ochraniać od deszczu. 9) Kraina pięciu rzek w Azji. 10) Nazwa ziem słowiańskich nad Bałtykiem. 11) Współuczestnik w grze. 12) Pracujący na polu wychowania i nauczania.

ZAGADKA LITEROWA

uł. Żabka z nad Rosi dla Pufci.

Pierwsza w Bochni i w Wieliczce,
Druga nie w soli — w solniczce,
Trzecia w Węgrzech, nigdy w Anglii,
Czwarta nie w pochwie lecz w szabli,
Piąta nie w Hali lecz w Tolu,
Szosta w ogrodzie i w polu,
Siódma w pszczole, a nie w roju,
Ósma w hulance, nie w znoju,
Dziewiąta dwakroć w pokoju,
Dziesiąta ma wuj nie ciotka,
Jedenasta — każda kotka,
Wszystko miasto, wkoło słynie
Pielgrzymów rzesza doń płynie.

S Z A R A D A .

uł. M. P.

Pierwsze jest rzeka, a *drugie* litera
Trzecie wskazuje, *wszystko* laury zbiera.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 29-go.

Zagadki geometrycznej:

Jubiler ułożył brylanty w następujący sposób:

*
*
*

*
*
*
*
*
*

Zagadki: Wymaganiom zadania odpowiadają następujące daty: 1, 8, 11, 88, 101, 111, 181, 808, 818, 888, 1001, 1111, 1881.

Akrostychu: Kurów, Alaska, Lubraniec, Rów, Stoczek, Zelew.

Początkowe litery dają: Kalisz.

Trafne rozwiązania wszystkich trzech zadań podanych w N-rze 29 nadesłały tylko: Azurea, Polka, Wiochna.

Dwóch zadań: Stanisława Henneberżanka, Żabka z nad Rosi, Mewa z nad Wołgi.

Jednego z zadań — Młot, Amatorzy kwaśnych jabłek, Aldona Szystowska, Stefan Skwieciński, Wieśniaczka z Dębnińskiego, Batys, Henryka Krukowska, Russowianka, Goreja, ca pochodnia, Rusalka z Częstochowy, Łowiczanka, Jasiak Podlasiak, Niebieska Perełka, Incognito, Kraska leśna, Nafeta, Srocza białoruska, Jasia Bohdanowiczówna, Biruta.

Z nadsyłanych rozwiązań okazuje się, że czytelnicy nie zbyt uważnie wczytują się w treść zadań konkursowych; najwyraźniej było powiedziane w zagadce, iż liczby mają się czytać jednakowo wprost i wspak, zwyczajnie i po odwróceniu, a takim warunkom odpowiadają tylko cyfry złożone z jedynek, zer i ósemek. Rozwiązania więc w których podano liczby czytające się jednakowo wyłącznie wprost i wspak, nie zostały uwzględnione.

W spisie rozwiązujących zadania z N-ru 27, podanym przed dwoma tygodniami, opuszczono w druku kilka nazwisk, które dziś podajemy: Amatorzy kwaśnych jabłek, Dziunia z Nowego Świata, Stefan Skwieciński, Sokół Lit., Nafets, Działa Litwinka.

Rozwiązania zadań z N-ru 28 nadesłali w swoim czasie, prócz ogłoszonych dawniej, również M. Naramowski, Stokrotka, Czarnuszka, Wisienka, Mazur, Aldonka Pancerzyńska.

Aes.



PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Katastrofa na wyspach Paumotu (ryc.) — Dwie wygnanki, powieść z czasów cesarza Barbarossy, przez Teresę Jadwiga Oj, poleć ja! wiersz. — Budownictwo u zwierząt (z ryc.) — Z wędrówek po kraju (z ryc.) — Pałac w głębi oceanu, Maksyma Pemberton (z ryc.) — Ze świata — Łamigłówny i rozwiązania. — **Dodatek:** Z nauk mamy. — Wylew, wiersz przez Irenę Mrozowicką. — O Bubulisi i jej bracišku Bubu (z ryc.) — Franek, przez Antoninę Sadowską. — Łamigłówny i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Spełnione marzenia; powieść dla młodzieży przez Irenę Mrozowicką.



Z NAUK MAMY.

TELEGRAF.

Mamusi, mamusi! — wołała Lucia, wbiegając do pokoju — jest telegram od cioci; tatko już przeczytał i powiedział, że jutro trzeba konie wysłać po ciocię na kolej!

Mama uściśkała córeczkę za nowinę i poszła zając się przygotowaniami na przyjęcie miłego gościa. Gdy za godzinę, zarządzwszy wszystko, wróciła do swego pokoju zastała dzieci, sprzeczące się o coś głośno.

— Kiedy ci mówię, że ciocia pisała telegram, to ciocia pisała! — dowodziła siedmioletnia Lucia — sam tatuś powiedział, że to od cioci.

— Od cioci, ale ciocia sama nie pisała, tylko ten pan, co tam na stacyi kolejowej tak stuka maszynką — dowodził o rok starszy Staś. Jak jeździłem z tatusem, pytałem się, co ten pan tam robi w tym małym pokoiku, a tatuś mi powiedział, że telegrafuje!

— Telegrafuje Stasiu, ale nie pisze — poprawiała mama, która wchodząc usłyszała, o co idzie. Pisała ten telegram sama maszynka czyli przyrząd tak dowcipnie urządzony, że tu u nas na stacyi pisał to, co mu kazano o 10 mil stąd, to jest, w Warszawie, gdzie mieszka ciocia.

— Mamusi, jakż to mądra maszynka! i jak to jej tak można kazać o 10 mil?

— To przecież nie sama maszynka mądra, tylko ludzie ją tak mądrze wymyślili — a jak to być może, żeby nietylko o 10, ale i o 20 i o sto a choćby o tysiące mil pisała co jej każą, spróbuję wam wytłumaczyć. Powiedz mi Stasiu, co byś zrobił, gdybyś musiał w tej chwili powiedzieć coś tatusiowi, który jest w podróży a sam pójść byś nie mógł:

— Chybabym posłał kogoś — odpowiedział chłopczyk z namysłem.

— Doskonale! a więc i ciocia chcąc nam dać znać, kiedy przyjedzie, wyprawiła do nas posłańca, który choć niema ani nóg, ani skrzydeł, przebył tych dziesięć mil tak szybko, jak błyskawica — tym po-

ślańcem była elektryczność, o której wam mówiłam w pogadance o burzy.

Około 150 lat temu, znakomity uczony i bardzo zacny a dzielny człowiek, Benjamin Franklin, obywatel Ameryki północnej, uderzony podobieństwem iskerek elektrycznych, wywoływanych z bursztynu, domalutkich błyskawic, zaczął robić różne ciekawe próby i doświadczenia, aż się sam przekonał i wszystkim dowiódł, że pioruny nie są niczem innem, jak tylko dużymi iskrami elektrycznymi. Błyskawice powstają, gdy iskra elektryczna przeskakuje z chmury na chmurę i oświeca w niej kłęby mgły. Grzmot jest to powiększony i powtórzony echem huk, który powstaje w skutek szybkiego przebiegania tych iskier przez powietrze i rozbijanie go przez nie. Podobnie powstaje odgłos, gdy n. p. furman palnie biczem, przeryzując śmignięciem powietrze. Leciutki trzask słyszałeś Stasiu, przy malutkich iskierkach wywoływanych z bursztynu ogromne iskry w chmurach sprawiają huk wielki. Gdy zaś iskra elektryczna przeskoczy z chmury na ziemię, nazywamy to piorunem. Wielką jest siła piorunu, który n. p. w jednej sekundzie całe olbrzymie drzewo rozczepić może na dwoje — gdy więc już raz ludzie zrozumieli, że piorun, to tylko iskra elektryczna, z łatwością przyszło im na myśl, że ta siła możeby się dała zużytkować nie na szkodę, ale na pożytek, gdyby ją jakoś można było opanować i pokierować. Już tenże sam Franklin, przez swoje ciekawe próby doszedł tego, że elektryczność wtedy iskrą przeskakuje z przedmiotu na przedmiot, jeżeli nie ma poczem przejść z łatwością, spokojnie i cicho, ale gdy jej podsunąć jakąś drogą dla niej wygodną, to pójdzie po niej tak szybko jak błysk, choć bez światła i bez hałasu; a da się tak przeprowadzić wszędzie, gdzie zechcemy.

— Aha, już jesteśmy przy drodze: — zaraz będzie, jak to ciocia wyprawiła elektryczność w drogę do nas, z prośbą o konie! Ogromnie jestem ciekawy, jak ona idzie i po jakiej drodze?

— Żebyś to mógł lepiej zrozumieć, chyba zrobimy takie porównanie, że elektryczność idzie n. p. jak ciepło.

— Nie rozumiem wcale.

— Poczekaj: weź ten stalowy drut z mojej ro-

boty i włóż jeden jego koniec w płomień świecy, a trzymaj za drugi. Cóż teraz czujesz?

— Czuje mamusiu, że drut coraz cieplejszy! Aj! już mnie parzy, nie mogę utrzymać!

— A przecież ten koniec w twoich palcach nie dotykał płomienia. Widocznie więc ciepło przeszło po drucie z jednego końca w drugi. A teraz weź tę starą obsadkę drewnianą i tak samo jak poprzednio drut, włóż jednym końcem w płomień.

— Obsadka się pali, mamusiu!

— Na jednym końcu aż się pali, to pewnie musi cię bardzo parzyć na drugim?

— Nie, mamusiu! nie czuję nawet żeby była ciepła!

— Więc widzisz, Stasiu, że ciepło rozeszło się bardzo prędko po drucie żelaznym, a po drzewie przejść nie chce: drzewo się tak łatwo nie rozgrzewa, dla tego nazywamy żelazo dobrym, a drzewo złym „przewodnikiem” ciepła. Otóż, Franklin już zauważył, że siła elektryczna da się przeprowadzić po jakimś dobrym dla siebie przewodniku, a po złym wcale nie pójdzie.

(d. n.)



Wylew.

Biją dzwony na trwogę
 hej dzwony!
 Nikt nie pozna dziś swej chaty
 rodzonej,
 Nikt nie pozna swego pola
 czarnego,
 Krwawym potem, ni to rosą
 zlanego.
 Bo gdzie spojrzysz, gdzie dobiegnie
 twe oko
 Wszędzie woda rozlana
 szeroko,
 Woda groźna, szumiąca
 a chciwa,
 Co ze sobą ludzkie szczęście
 porywa,
 Ludzkie szczęście, i spokój
 i plony,
 Wszystko w fali zatapia
 zmaconej.
 I unosi do morza
 daleko —
 A w ślad za nią strumieniami
 łyż cieką.

Irena Mrozowicka.

O Bubulisi i jej braciszku Babu.

I.

Dzieci zwykle budzą się rano, wcześniej nawet od niani. Ale leżą cichutko w łódeczkach, póki się niania nie obudzi.

Tak było i tego dnia, kiedy pode drzwiami poka-
 ju dzieci, z którego wychodzi się na werendę odezwa-
 ło się żałosne:

— Miau! Miau!

Bubulisia usiadła na łódeczku i zawołała.

— Nianiu!

— Ale nianusia nie słyszy, śpi mocno: Więc Bubulisia wysunęła się na ziemię i tup! tup! bosemi nóżkami do drzwi. Klamka wysoko, ale od czego gło-
 wa? Bubulisia weszła na krzeselko, odsunęła zasuw-
 kę, otworzyła drzwi. A tu pod samym progiem sie-
 dzi mały kocina, szary, chudy, z najeżoną sierścią
 i patrzy żałośnie i powtarza swoje „miauu!” jakby
 prosił o zmiłowanie. Bubulisia głaszcze go a on ocie-
 ra się o jej nóżki i przymila, jak dobry znajomy.

— Cio to? kicia? odezwało się na progu, to Bu-
 bu w koszulinie wywędrował na werendę na czwora-
 kach pewnie dla pośpiechu, bo od niedawna dopiero
 chodził na dwóch nóżkach.

Niania miała niespodziankę! Budzi się, a tu łó-
 deczka pusta i drzwi otwarte. Ale usłyszała głosy
 dzieci za progiem. Sprowadziła je zaraz do ubiera-
 nia, a za nimi przyszedł i kotek. Zjadł cały spo-
 deczek mleka z bułeczką, który mu niania postawi-
 ła, a potem położył się spać. Kiedy mama wstała
 i przyszła do dzieci, przybiegł za nią jamnik, Bobuś
 chciał potarmosić biednego gościa, ledwie go mama
 z nianiusią obroniły. Okazało się, że kotka nie mo-
 żna trzymać w domu, bo byłyby ciągle bójki z Bo-
 busiem. Więc niania wzięła „Gościa” bo tak go ma-



ma nazwała, i poszła z dziećmi do obory, gdzie mu
 usłała łódeczko w drewnianej paczce. „Gościowi” bar-
 dzo się tam podoba: ciepło, spokojnie, dzieci trzy-ra-
 zy na dzień przynoszą mu jedzenie. „Gość” rośnie

i zaczyna już polować na myszy, a jak dorośnie, zabierze się pewno do szczurów, bo jest bardzo odważny i silny.

B. B.

Franek.

PRZEZ ANTONINĘ SADOWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

II.

Frucyk był prześliczny, maleńki, czarny, jak kruk, a choć gdy stał, to główkę w tył odrzucał i nóżką niecierpliwie grzebał, to jednak zaledwie poczuł, że ktoś na nim siedzi, zaraz robił się łagodny jak baranek. A pieścizotliwy! z ręki brał chleb i cukier i jak pies krok w krok za Maniusią chodził. Nawet Staś zbliżał się do konika, głaskał go po krótkiej, przystrzyżonej grzywie, a czasem przytrzymywany przez stróża Jakóba, objeżdżał w koło klombu, wolniutko, kilka razy.

Dwuletni Juraś wyciągał rączki z zachwytem i wołał:

— Caca prrr... caca prrr... co miało znaczyć: ładny konik... ładny konik...

Pewnego dnia urządzono wielką wycieczkę do lasu. Manusia na swoim kucyku, Staś i Juraś w wózku pchanym przez Jakóba, na końcu wlokła się niańka, ciężko dysząc.

Upał był straszny, a szeroka, środkiem wsi ciągnąca się droga, piaszczysta i nie ocieniona żadnym drzewem.

Kucyk szedł noga za nogą, Manusia kapelusik na czoło nasunęła, niańka narzekała:

— O lo Boga! a toć żywy ogień z nieba leci! Czy i wam Jakóbie tak strasznie gorąco?

— Co mi tam ma być gorąco? słonina mnie nie parzy, bo mięsiska rzadko kiedy próbuję, tylo barszcz i kartofle.

Staś zapytał:

— A cukierki jadacie często?

— Jadem raz na odpuszcie, alem był jeszcze wtedy mały, tyli co panicz.

— Ach! jaka ładna chałupa! — zawołała Manusia — czyja to?

— A toć karbowego! ho! ho! bogacz! dobrze mu się dzieje!...

— Rzeczywiście, pięknie pobielona, z niebieskimi paskami w około okienka, porządnie poszytym dachem, otoczona ogródkiem z kwitnącemi malwami, chata odróżniała się od innych.

Staś wyjrzał z pod podniesionej budki powoziku.

— Jak tu ładnie! — pisał i natychmiast schował się głęboko. Na progu bowiem, w krótkiej koszulinie, przepasanej czerwoną szmatką, siedział Franek i mruczał.

Nagle zerwał się, rzucił naprzód, szarpnął i z krzykiem upadł na ziemię.

— Franek! Franek! — wołała Marynia — czego płaczesz?

Jakób rozśmiał się głośno i szeroko.

— A bo uwiązany kiej ciełę, na postronku... co by w szkodę nie lażł...

— Jakiż on nieszczęśliwy! i nogę ma zakrwawioną... — to mówiąc, Manusia zsiadła z konika i chciała iść na pomoc dziecku, ale wstrzymała ją niańka.

— Panienko, proszę nie podchodzić, to waryat... o! ze złości własne ręce gryzie, a jaki czerwony...

— Bo mu gorąco!... i ostrożnie Franka okrążywszy, dziewczynka zaczerpnęła wody w garnuszek i podała ją chłopcu. Spojrzał niechętnie i lękliwie, zamruczał, wreszcie jednym susem przyskoczył i pił długo i chciwie.

Staś ścisnął Jakóba za rękę.

— Uciekajmy!.. uciekajmy!... — prosił drżącym głosem.

— Nie trza... toć uwiązany... — śmiał się Jakób.

— A może on głodny? — troszczyła się Manusia.

— E! nie! ma przecież chleb za pazuchą... ale nam czas jechać... słońce wysoko... niech panienka siada.

W lesie było prześlicznie, cień, chłód, w około wielkie, szumiące drzewa, pod nogami mięciutki mech, a gdzieś w dali kukułka kukała wesoło i gwizdał kos, to znów przeleciała niebieska kraska, lub wilga żółciutka, a wysoko na gałęziach mignęła wiewiórka o puszystym ogonku.

Staś klaskał w rączki, biegał i skakał z radości, więc i Juraś chciał wyjść z wózka, ale Jakób mu radził:

— Niech Juraś posiedzi jeszcze trochę, zaraz dojedziemy w takie miejsce, gdzie i woda niedaleko i chłodno...

— Grzyb! grzyb! — krzyknął Staś — o! jaki śliczny! czerwony! w białe kropki! stoi sobie na cieńkiutkiej nóżce.

— Nie można tego ruszać! to trucizna! — broniła niańka — to muchomor!

Zatrzymali się, a Manusia przywiązawszy kucyka do drzewa, zajęła się gospodarowaniem i wydobywszy z wózka butelki z mlekiem, szklaneczki, obdzielała wszystkich, dodając każdemu po bułeczce i dwa ciastka.

Jakób jadł ze smakiem i zachwalał.

— O, dobre! słodziunie jak miód! A teraz zrobimy se ognisko i upieczemy kartofli w popiele.

Wydrapawszy dołek w ziemi, otoczył go mchem, naznosił małych gałązek i zapalił. Ogień trząsał wesoło, a stróż wydobył z kieszeni kilkanaście kartofli i położył je obok.

— Niania włoży do popiołu — rzekł — a my pojedziemy se na grzyby.

Juraś zasnął, więc ułożywszy go w wózku, niańka siadła na pieńku i zieloną gałązką muchy odpędzała.

(d. c. n.)

ZADANIA KONKURSOWE.

ŁAMIGŁÓWKA RAMOWA.

ul. Aes dla uczestników konkursu.

A	u	T	o	n	I
M	o	s	z	e	o
u	e	r	o	u	a
u	e	r	o	u	a
I	g	a	r	y	

Zamiast kropek podstawić litery tak, aby u góry i z lewej strony utworzyło się jedno imię męskie, a u dołu i z prawej drugie.

Znaczenie wyrazów: 1) Imię męskie, 2) Inaczej przenocowanie, 3) Przykrycie

głowy, używane przez Turków, 4) Imię żeńskie, 5) Czasownik, 6) Imię męskie.

Zadanie na dobieranie końcówek.

ułożyła W. D.

Patrzaj, patrzaj moje dziecię!

Płynie chmurka po

Jaka lekka! jaka mała!

Patrz! teraz się

Skoro się złączy z tamtęmi,

Będzie deszczyk tu na

A ten deszczyk Pan Bóg daje,

Ry zakwitły niwy,

Jak ta chmurka, tak dziecino

Małe troski życia

A potem się razem ścisną,

W oczach ludzkich lży

A po łezkach, wśród tęsknoty

Jak kwiateczki rosną

METAGRAM.

ul. Żabka z nad Rosi.

Przez **I** sięga na zagonach

Moczą, trzepią, czeszą.

Z **r** w Holandyi w morze wpada

Z całą siostrzyce rzeszą.

A gdy jesteś już znużony

I spoczynku trzeba,

To przez **s** cię wnet pokrzepi

Ten dar, dany z nieba.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 29-go,

Łamigłówni geograficznej:

R a W k a
P i l i c a
P r o s n a
I ł z a n k a
W a r t a

W pionowym kierunku odczytamy nazwę: Wisła.

Zagadki: Kobiątka.

Szarady: O — koń.

Trafne rozwiązania wszystkich trzech zadań konkursowych, w dodatku do N-ru 29 umieszczonych, nadesłali następujący czytelnicy: Świetlana, Młot, Amatorzy kwaśnych jabłek, Aldona Szystowska, Stefan Skwieciński, Muszka z Krakowa, Wiesniaczka z Drobińskiego, Batys, Azurea, Henryka Krukowska, Polka, Wiochna, Russowianka, Łowiczanka, Kaliszanka, Mimoza, Stanisława Henneberżanka, Kraska leśna, Mewa z nad Wisły, Czarnuszka.

Dwa z zadań — Gorejga Pochodnia, Jasiak Podlasiak, Niebieska Perełka, Gwiazdka, Incognito, Jasia Bohdanowiczówna, Biała Brzoza z nad Prosną, Żabka z nad Rosi, Biruta.

Jednego z zadań: Warszawianka I, Rusalka, Srocza białoruska, Nafets.

Czarnuszka, Stokrotka, M. Naramowski Wisienka, Mazur, Aldonka Pancerzyńska rozwiązała również zadania z N-ru 28.

Skrzynka do listów.

Sprawa, poruszona przez ciebie **Miri**, wymaga dłuższej odpowiedzi, dla tego też bądź łaskawa przysłać nam dokładny swój adres, a wtedy niezwłocznie odpowiemy ci listownie, Tymczasem od wszelkiego udziału w doświadczeniach i posiedzeniach zechciej się wstrzymać. Łamigłówna z dedykacją dla ciebie ukaże się w N. 33-im.

List twój **Biruto** nie zastał już Jaskółki w redakcji; nie powinno cię to jednak wstrzymać od korespondencji, bo Jaskółka zostawiła zastępcę, który również chętnie służy zawsze dobrą radą lub objaśnieniem i wskazówką w zapytywanych sprawach. Do uczestników konkursu wytrwałości już jesteś zaliczona.

Autorka artykułu umieszczonego w N. 25 „Wieczorów”, wbrew twoim zapewnieniom **Czarny Bratku**, miała słusność: czarnych kwiatów niema. Są wprawdzie pewne gatunki bratków i malwy z kwiatem o barwie tak ciemnej, iż się wydaje czarną, ale po rozterciu płatków kwiatowych z łatwością spostrzedz można, że bratki mają właściwie kolor ciemno-fioletowy, a malwy ciemno-granatowy. W handlu widzieć można nieraz cięte kwiaty o czarnem zabarwieniu, otrzymywanym sztucznie w następujący sposób: kwiat ledwie rozwinięty lub mający się dopiero rozwijać wkłada się na noc w odpowiednio zabarwioną wodę o temperaturze nieco wyższej od pokojowej; dnia następnego otrzymujemy rozwinięty kwiat czarnego koloru. Kwiaty jednak zabarwione tym sposobem zazwyczaj bardzo prędko więdną.

Uczące się wyjaśniamy, że *epoka* jest wyrazem pochodzenia greckiego (*epoche* znaczy dosłownie przestanek.) Epoką nazywamy wogóle każde ważne zdarzenie, od którego rozpoczyna się w dziejach nowy okres. Stąd mówi się o jakimś ważnym wypadku, że stanowi *epokę*.

Odpowiedzi działu zadaniowego,

Wielką wadą, **Krasko Leśna** jest nieuwaga. Wystąpiłaś z pretensjami do redakcji zupełnie bezzasadnie. W N. 30, jak to zresztą było wyraźnie wydrukowane, umieszczono spis osób, które rozwiązały zadania konkursowe z N. 27; rozwiązań tych wcale przecie nie przysyłałaś, nie mogliśmy więc podawać twego imienia.

Do nadesłanej łamigłówni zapomniałaś **Świetlano** dołączyć rozwiązania, zresztą i tak nie zostałyby zaliczona do druku, bo obecnie pierwszeństwo dajemy łamigłównom, w których nie tylko początkowe litery wyrazów ale również i końcowe tworzą jakieś znaczenie.

Arytmogryf **Żabki z nad Rosi** nie został przyjęty do druku; zagadkę (wprost i wspan) na ten sam temat otrzymaliśmy już dawniej od Dyablika.

Arytmogryf twój **Azureo**, do druku się nie nadaje.

Skarżysz się **Lwowianko** na trudność niektórych zadań konkursowych; nie można ci, jak widzę, dogodzić; niedawno przecie pisałaś do Jaskółki, że zadania są tak łatwe, że nie warto fatygować się ich rozwiązywaniem, a gdy zaczęliśmy dawać nieco trudniejsze, skarżysz się już na ich trudność. Nieco uważniej zabieraj się do rozwiązywania, a przekonasz się, że zawilości żadnych w zadaniach podawanych niema.

Dla pamięci. Pewnego razu mama, przeglądając kieszenie Wicusia, znajduje chusteczkę z trzema węzełkami na rogach.

— Mój Wicusiu, powiada mama, pamiętaj, że trzeba te węzełki porozwiązywać.

— Dobrze, mamusiu — odpowiada Wicus i robi czwarty węzełek dla pamięci.